

## Krzysztof Zanussi i jego „Iluminacja”

Franciszek – bohater filmu „Iluminacja” – przeżywa te same rozterki, które i mnie przyszło przeżyć i dlatego się z nim utożsamiam. Zacytuję tu moment, w którym Franciszek rozstaje się z uczelnią, ponieważ jego dziewczyna jest w ciąży. Musi poświęcić karierę w imię obowiązku i przyzwoitości – pisze Krzysztof Zanussi w książce „Strategie Życia” .

W życiu wielu ludzi pojawia się takie przeciwstawienie: rodzina albo kariera. Co ważniejsze, a co powinno zostać na drugim planie. Czy poświęcić karierę dla rodziny, czy też rodzinę dla kariery? A jakby tak niczego nie poświęcać?

Słowo „kariera” ma w naszej kulturze zdecydowanie podejrzany charakter. Pod wpływem angielskiego, to negatywne zabarwienie trochę słabnie, ale rzeczownik, który pochodzi od kariery, „karierowicz”, ma charakter jednoznacznie negatywny. Karierowicz to człowiek, który dla kariery, czyli osobistej korzyści (bo komu innemu jego kariera przynosi jakiś pożytek?) gotów jest złamać podstawowe zasady moralne, takie jak: lojalność, uczciwość, prawdomówność. O karierowiczu mówimy z pogardą, ale o tym, że komuś udało się zrobić karierę, mówimy najczęściej z podziwem, szczególnie, jeśli możemy jeszcze dodać, że zaszedł w życiu daleko i to o własnych siłach, własnym talentem, własną pracą, a nie dzięki jakimś kontaktom czy zupełnie przypadkowemu splotowi wydarzeń. O kimś, kto wygrał na loterii nie powiemy, że zrobił karierę, bo on w ogóle nic nie zrobił, nie

ma żadnej zasługi poza tym, że kupił los i mówimy, że mu się poszczęściło, a nie że mu się należało. Jednym słowem, że trafiło mu się jak ślepej kurze ziarno. Szczęścia można zazdrościć jako przejawu niesprawiedliwości naszego losu, ale cudze szczęście nie budzi podziwu, a cudza zasługa tak.

Zanim wrócę do tematu kariery, chwila zastanowienia nad tym, w jakie narzędzia jesteśmy wyposażeni, kiedy w początku dojrzałego życia rozpoczynamy działalność zawodową. Te narzędzia to przede wszystkim talent (zdolności, predyspozycje umysłu i ciała), charakter, czyli zdolność powodowania sobą, siła motywacji, gotowość do podejmowania wysiłku, odwaga, konsekwencja i wreszcie wykształcenie. Przy wykształceniu należy zrobić pierwszy przystanek, bo to temat wart dłuższych rozważań.

Okres moich poszukiwań, tego, czemu mam się poświęcić, obejmuje dziesięć lat i są to lata piękne, ale też bardzo trudne i bolesne. Przede wszystkim w roku maturalnym 1955 obszar wyboru dla mego pokolenia był wąski: odpadały wszelkie kierunki humanistyczne, bo były przesycone ideologią. Już w szkole średniej rodzice tłumaczyli mi cierpliwie, że czegokolwiek się dowiem w szkole z historii, polskiego czy nawet geografii mam opowiedzieć w domu, posłuchać jak jest naprawdę i w szkole mówić, jak mnie uczą w szkole, a na własny użytek znać prawdę, ale się nią nie chwalić. Ten dualizm sięgał nawet biologii. Ojciec tłumaczył mi cierpliwie, że Trofim Łysenko i Olga Lepieszynska to oszuści (podobnie jak Miczurin, radziecki „czarodziej sadów”), że to, co mówią w szkole na lekcjach geografii o ńedzy w zachodniej Europie, to nieprawda.

Profesor Pniewski zapytał kiedyś, czy aby nie interesuje mnie bardziej człowiek pochylony nad przyrządem, aniżeli to, co przyrząd wskazuje. Ta myśl jak grom z nieba doprowadziła do olśnienia: „jestem w błędzie, marnuję czas”

Zgodnie z tradycją rodzinną miałem zostać architektem i dlatego ojciec zapewnił mi korepetycje z rysunku. W maturalnej klasie ślęczałem nad kapitelami z korynckich liści akantu, po czym przyszło mi do głowy, że po

studiach na architekturze będę projektował w obowiązującym socrealistycznym stylu, a wieczorem, rodzinnym zwyczajem, będziemy się naśmiewali z prostactwa tej estetyki, jej drobnomieszczańskiego zadęcia na tandetny monumentalizm wsparty pseudoklasycystycznymi ozdóbkami. Pamiętam drobiazgową analizę estetyki Pałacu Kultury w Warszawie, którą ojciec wygłaszał na placu Defilad, po czym został wylegitymowany, ponieważ nie zostawił suchej nitki na Lwie Rudniewie, sowieckim architekcie, który oszpecił Warszawę Pałacem Kultury i żalostną repliką Belwederu, jaką jest sowiecka ambasada. Mając to wszystko przed oczami, w ostatniej chwili zamiast pójść na egzamin wstępny na architekturę, trafiłem na wydział fizyki, na którym spędziłem cztery lata, nim odkryłem, że to nie jest moje powołanie.

To, jak dochodziłem do zrozumienia tego smutnego faktu, było dla mnie przedmiotem upokorzenia i wstydu. Byłem do nauk ścisłych trochę zdolny, ale nie bardzo. To najgorsze, co się mogło przydarzyć. Niezdolny nie zdałby pewnie wstępnego egzaminu, bardzo zdolny

zostałby fizykiem, a ja cztery lata byłem w takim stanie zawieszenia: to coś zdałem, nawet nieźle, to znowu coś oblałem i dopiero po czterech latach wielki fizyk (i dobry psycholog) profesor Pniewski (ten od tandemu z Danyszem) przyjąwszy ode mnie egzamin zapytał, czy aby nie interesuje mnie bardziej człowiek pochylony nad przyrządem, aniżeli to, co przyrząd wskazuje. Ta myśl jak grom z nieba doprowadziła do olśnienia: „jestem w błędzie, marnuję czas” i to w chwili, kiedy ustąpiła zasadnicza przeszkoda, jakim była wąskość wyboru. Po październiku '56 uniwersytet nie był już tak mocno zideologizowany, w Krakowie na filozofii pojawił się fenomenolog, profesor Ingarden, uczeń Husserla, kolega Edyty Stein i tam wykładano „normalnie” filozofię, bez marksistowskich przeinaczeń. (Do dziś dnia, szczególnie na wschodzie Europy rozpoznaję, kto jaką studiował filozofię: ci, co rozróżniają idealizm i materializm uczyli się u marksistów, a ci, co ontologię, czyli naukę o bycie, zaczynają od rozróżnienia monizmu i dualizmu, przeszli „normalny” kurs historii.)

Kiedy wspominam fizykę, mówię na użytek wywiadów, że byłem i dalej jestem w niej zakochany, niestety bez wzajemności. To ma być tak śmiesznie powiedziane, ale naprawdę oznacza moją wielką nostalgię za światem nauk ścisłych, gdzie było więcej pewności, a zarazem więcej Tajemnicy. W gronie fizyków, których do dzisiaj spotykam, znajduję więcej pokory niż u znajomych humanistów. Ekonomiści czy historycy często wierzą, że każdy proces, każde zjawisko społeczne i historyczne ma określone przyczyny i da się wyjaśnić do końca — wśród fizyków, którzy sami wiedzą niezmiernie dużo o świecie, ciągle pojawia się świadomość, że ich wyjaśnienia są cząstkowe, a rzeczywistość, z którą się w nauce spotykamy, nas przerasta.

Myślę, że to dobry moment, żeby teraz odwołać się do filmu, który zrobiłem w latach siedemdziesiątych, przeżywając jeszcze wtedy na świeżo swoje rozstanie z fizyką. Mój bohater Franciszek nie dzieli w filmie mojej biografii, ale przeżywa te same rozterki, które i mnie przyszło przeżyć i dlatego się z nim utożsamiam. Zacytuję tu moment, w którym Franciszek rozstaje się z uczelnią, ponieważ jego dziewczyna jest w ciąży. Musi poświęcić karierę w imię obowiązku i przyzwoitości. A przy okazji przysłuchajcie się Państwo temu, co mówi w filmie autentyczny fizyk teoretyk, profesor Iwo Białynicki-Birula, niegdyś mój wykładowca obok profesora Białkowskiego, który był także wybitnym poetą. Często mówię o nim w Rosji, ponieważ tam po latach marksistowskich utrwaliło się takie niedorzeczne przeciwstawienie fizyków i liryków - czyli inaczej poetów. Jest to echo marksistowskich przeciwstawień materializmu i idealizmu: fizycy mieli by być materialistami, a poeci bujać w świecie ducha. W rzeczywistości, a szczególnie w naszej zachodniej kulturze jest inaczej - to fizycy często mają nad nami przewagę wyobraźni i to oni są bliżej poezji niż większość zjadaczy chleba, natomiast spostrzeżenie, które robi profesor Białynicki, dotyczy kapitalnej dla człowieka hipotezy, że istnieje rzeczywistość poza czasem.

W filmie grają: Stanisław Latalo, Małgorzata Pritulak i autentyczne postaci podpisane na taśmie filmowej.

\*\*\*\*\*

**[Fragment scenariusza filmu „Iluminacja”]**

Ikonografia: Ogłoszenie wywieszone w wydziałowej gablocie o wyborze specjalizacji od czwartego roku studiów.

Sekwencja dokumentalna: Dyskusja w gronie studentów i asystentów na temat problemu specjalizacji. Franciszek pierwszy wystąpił z tezą, że jeszcze za wcześnie na to, aby postanowić, w jakim kierunku człowiek będzie pracował całe życie. Dotychczasowe studia nie dały jeszcze szansy dostatecznego rozeznania w całości dyscypliny. To, co dalej nastąpi - będzie coraz większym zacieśnieniem pola widzenia, zwężeniem kręgu zainteresowań.

Kontrargument: Żeby człowiek miał szansę coś osiągnąć, musi startować bardzo wcześnie. Studia ogólne są tylko wstępem.

Dylemat wyboru: Każdy wybór ogranicza pewną liczbę możliwości. Człowiek, który cofa się przed wyborem, jest po prostu niedojrzały.

Atak na Franciszka: W jego pragnieniu, by studia i praca dotyczyły spraw ogólnych i istotnych, jest przede wszystkim pycha. Człowiek skromny rozumie, że jest tylko trybem w wielkim mechanizmie poznania. Czasami u końca drogi można sobie pozwolić na syntezę. Po drugie, niemożność wyboru nie jest wyłącznie dramatem naukowca. W życiu, aby powiedzieć kim jestem, trzeba również powiedzieć kim nie jestem.

Moralność naukowca: Imperatyw dociekania prawdy - czy można się ograniczyć do tego, by być specjalistą w jednej wąskiej dziedzinie, znać choćby najlepiej na świecie jakieś jedno drobne zagadnienie.

Wątpliwość w stosunku do Franciszka: Czy aby nie minął się z powołaniem. Czasem zdolności nie idą w parze z podstawowym nurtem zainteresowań,

Franciszek rozmawia ze starszym kolegą, Włodkiem. Stoją przed portykiem Instytutu, w ogrodzie na Hożej.

**Włodek:** Słyszałem, że się buntujesz. Co się stało?

**Franciszek:** Nie, ja się nie buntuję... Już dawno przestałem się buntować, tylko wiesz... Ja mam wybierać. Żądają ode mnie wyboru, a ja nie chcę tego robić... Przecież sam wiesz. Nauczylście nas fizyki sprzed lat dwudziestu; to jest świetnie, ale przecież my nie wiemy, co się we współczesnej fizyce dzieje dzisiaj. Ja, na przykład, nie wiem, w którym punkcie fizyki coś ważnego się dzieje, gdzie miałbym stanąć... Gdzie można być dobrym.

**Włodek:** (ironicznie) A ty chciałbyś być dobry? Franciszek: A ty nie? (obaj się śmieją) Przecież wiesz, że nie chodzi mi tylko o to, żeby być dobrym, ale żeby znaleźć się w takim miejscu fizyki, skąd można ogarnąć całość, syntetyzować w jakiś sposób...

**Włodek:** (patrzy z ironią) Jakież szanse tam masz. Einsteinowi i paru innym to się udało. Mogę ci dać jakąś szansę, jedną na dziesięć tysięcy...

**Franciszek:** (oburzony) Ja nie chcę od razu być Einsteinem, nie chcę w tej chwili wybierać, nie chcę się dać wprowadzić w uliczkę wąskiej specjalizacji...

**Włodek:** Wybór w ogóle jest trudny. I to chyba nie tylko w fizyce. W życiu też będziesz miał problem. .. Kłopot w tym, że ty przy każdym wyborze koncentrujesz się na tym, co tracisz, a nie na tym co wybrałeś, czemu się poświęcasz... A w fizyce nie ma czasu do stracenia, jeśli cokolwiek osiągniesz, to tylko przed trzydziestką...

\*

Ikonografia: Portret Alberta Einsteina. Mając lat trzydzieści cztery został profesorem, w czterdziestym drugim roku życia zdobył Nagrodę Nobla.

Max Planck - profesura w dwudziestym drugim roku życia.

Werner Heisenberg - profesura w dwudziestym szóstym roku życia, Nobel w trzydziestym pierwszym.

Wykres badań statystycznych - zależność wydajności naukowej (liczba publikowanych prac) od wieku.

Pracownia. Wieczór. Franciszek liczy pod mikroskopem cząsteczki.  
Cisza. Słyszeć tylko cykanie automatów. Doświadczenie jest nudne i Franciszek bezmyślnie wkłada swoją rękę pod mikroskop, ogląda skórę, potem dłoń od wewnątrz.

Schemat chiromancki. Na moment wcięte ujęcia z przyszłych scen: twarz przyszłej żony, chorzy umysłowo w szpitalu psychiatrycznym, wojsko, dziecko (syn Franciszka), klasztor, rzeka, nieudana próba samobójcza; na końcu Franciszek.

Wykład wprost do kamery: Ktoś z fizyków teoretyków wyjaśnia, że istnienie czasu przyszłego w teraźniejszym jest w jakimś stopniu do pomyślenia — a w każdym razie istnieje taka ewentualność. Profesor Białynicki-Birula mówi „Najważniejsza różnica między wymiarami przestrzeni i czasu polega na tym, że podczas gdy w przestrzeni możemy poruszać się w różnych kierunkach świadomie i celowo, bieg czasu w naszej świadomości jest niejako automatyczny, nie możemy nim kierować... Bieg czasu w naszym umyśle można by porównać do ruchomego oświetlenia. Teraźniejszość i przeszłość, która istnieje pamięci, są oświetlone, natomiast przyszłość tonie w ciemnościach. Być może jednak istnieje sposób na to, by oświetlić przyszłość, by rozszerzyć owo oświetlenie. A może są tacy, którzy w ciemnościach potrafią dostrzec niewyraźne zarysy tego, co będzie jutro”.

Na moment na ekranie pojawia się przypomnienie sceny z wróżbą Cyganki.

„Poglądy te mogą brzmieć zaskakująco w ustach fizyka - ciągnie profesor Białynicki - ale nauka współczesna nie wyklucza tego, że przyszłość istnieje w teraźniejszości, podobnie jak przeszłość istnieje w naszej pamięci...”

Jako obraz przeszłości pojawił się mazur ze Straszego dworu - kolorowy wąż tańczących par okrąża scenę Teatru na Wyspie. Wśród przygodnej publiczności jest Franciszek z dziewczyną, która przez chwilę pojawiła się wcześniej w górach, w schronisku w Morskim Oku. Małgosia - wdzieczna, niezbyt ładna, troszeczkę nieśmiała.

Na dalszych obrazach (ciągle przy dźwiękach mazura) Małgosia z Franciszkiem w zoo, w tramwaju, na ulicy, gdzie Franciszek kupuje jej kwiaty. Wreszcie w akademiku - piętrowe łóżka, pusty pokój, okno zasłonięte ręcznikiem. Para ubogich kochanków zażenowana wzajemnie. Ktoś puka, pomylił drzwi na korytarzu. Małgosia zasłania się zawstydzona. Franciszek zdejmuje okulary i delikatnie bierze ją w ramiona.

Na moment wcięta pocztówka z rzeźbą z amorkiem.

\*

Pełnia lata. Obóz wojskowy. Koszary. Na placu apelowym tłum podchorążych ćwiczy krok defiladowy przed przysięgą. Skwar. Szare tumany kurzu za każdą osobną czwórką. Radosne pokrzykiwanie podoficera: „Nóżki równo. Lewa. Rączki pracują. Główki do góry. Lewa. Ten ostatni gdzie się patrzy? Mówiłem, rączki przed siebie...” Wzdłuż sztachet ogrodzenia stoją dzieci zapatrzone z zachwytem w dziwną zabawę dorosłych. „Na lewo patrz..

Podoficer daje komendę do defilady. Franciszek w drugiej czwórce popatrzy wedle rozkazu. Za płotem miga mu postać Małgosi. „Na wprost...”.

Franciszek na komendę nie prostuje głowy. Wzdłuż sztachet, równoległe do jego czwórki, idzie Małgosia, daje mu znaki. Ma jakiś ważny interes.

Podoficer krzyczy do Franciszka: „Było na wprost, czy nie było! To gdzie się patrzycie, za dziewczynami, co?!”

\*

Na wartowni. Pusty pokój, białe ściany, stół, dwa krzesła. Małgosia szepcze Franciszkowi coś do ucha. Wstydzi się, ponieważ w otwartych drzwiach do wartowni siedzą inni żołnierze.

Ikonografia: Wcięty formularz lekarski, zaświadczenie o dosyć zaawansowanej ciąży.

Małgosia dalej szepcze. Jest zaaferowana, zawzięta, protestuje przeciw czemuś, co szepcze jej na ucho Franciszek. Po chwili protest jej jest coraz słabszy, wreszcie zaczyna płakać i przytula się do Franciszka. Można sądzić, że są szczęśliwi, ale Małgosia znowu protestuje.

**Małgosia:** Nie, nie chcę. **Franciszek:** Dlaczego? **Małgosia:** No, bo nie...

**Franciszek:** Dlaczego?

**Małgosia:** Po co ci żona? Nie potrzebujesz się żenić. Ja wiem i dlatego będę żyła sama. Tylko na początku musisz mi trochę pomóc...

Franciszek przygarniają do siebie. Małgosia się nie broni. **Franciszek:** Głuptas jesteś.

**Małgosia:** Ty jesteś głupi. Robisz to z litości. Inaczej byś się nigdy nie ożenił...

**Franciszek:** Nieprawda... Nie psujmy wszystkiego. (Małgosia znowu płacze. Franciszek uspokaja ją) To by tylko trochę dłużej trwało, może rok albo pół...

\*

Ślub w Urzędzie Stanu Cywilnego.

Ikonografia: akt ślubu. Ślubna fotografia. Tłum pod kolumnami urzędu. Koledzy państwa młodych, matka Franciszka, ze strony dziewczyny para starych ludzi, prosto ze wsi.

\*

Przyjęcie w akademiku. Tłum kolegów. Gratulacje, toasty. „Gorzko, gorzko!”

Młoda para musi pocałować się przy stole.

\*

Ikonografia: wycinek z gazety. Ogłoszenie w dziale „mieszkańcowie”: „Młode małżeństwo poszukuje pokoju na okres roku, płatne miesięcznie”.

Franciszek z Małgosią zwiedzają smutny pokój w starej, odrapanej kamienicy. Niesympatyczna gospodyni nie chce ustąpić z czynszu. Węgiel trzeba będzie nosić samemu z piwnicy.

Ikonografia: Wpisowe do spółdzielni. Parę maszyn na placu budowy.

Książeczka mieszkaniowa.

Franciszek i Małgosia przeszli przez dziurę w płocie, oglądają wykop pod fundamenty.

\*

Wizyta u lekarza. Franciszek czeka na efekt badania. „Wszystko w porządku - mówi lekarz. Chce pan posłuchać bicia serca?” — pyta Franciszka, dając mu słuchawki.

\*

Sekwencja ikonograficzna. Rozwój płodu. Nieruchome fotografie na muzyce. Przenikanie stadia rozwoju człowieka. Aż do chwili, kiedy płód na pozór nie różni się już od niemowlęcia.

Korytarz szpitalny. Krzyk nowo narodzonego. Pielęgniarka pokazuje Franciszkowi z daleka przez szybę wrzeszczące, czerwone niemowlę. Mówi: syn.

\*

Franciszek, nieprzytomny ze szczęścia, w ubraniu wchodzi do fontanny przy Pałacu Kultury. Para gapiów patrzy na niego ze zdziwieniem.

\*

W mieszkaniu. Niemowlę na stole. Franciszek i Małgosia przy nim, zapatrzeni w potomka. Franciszek bierze małą rękę noworodka, porównuje jego dłoń z własną.

Ikonografia: Podanie do dziekana o urlop.

\*

W gabinecie dziekana Franciszek tłumaczy motywy swej decyzji.

**Franciszek:** Ja, panie dziekanie, próbowałem się dowiedzieć o pólętat, ale to nic nie załatwia, po prostu nie daję rady i przez to muszę...

**Dziekan:** No dobrze, ale pan zdaje sobie sprawę z tego, że już raz zerwawszy z nauką, potem jest niezmiernie trudno znowu się z nią związać. Ja prawie że nie znam przypadków ludzi, którzy przerwali studia, a potem znowu je kontynuowali...

**Franciszek:** (z nadzieją) Ja bym bardzo chciał wrócić... I wrócę, ale teraz nie mam innego wyjścia...

Pusta sala pracowni fizycznej. Przyrządy – szeregi retort, błyszczących urządzeń. Bezruch.

\*\*\*\*\*

Jak każdy stary człowiek z upodobaniem wyszukuję różnice pokoleniowe, a w głębi duszy szukam argumentów za tym, że moje pokolenie było lepsze. (Ta nieznośna potrzeba „lepszosci”!) Chłodno rozumując, nie znajduję żadnych poważnych argumentów za tym, że my z naszym światem inteligenckim byliśmy w czymś lepsi niż dzisiejsi młodzi. Nie ma tego jak porównać i jak zmierzyć, wiem natomiast, że byliśmy w wielu sprawach inni. I tak wskazałem, tytułem hipotezy, że w moim pokoleniu mieliśmy większą świadomość nieodwracalności zdarzeń, a w spokojnych, pokojowych latach pochyleni nad komputerami młodzi ludzie słabiej słyszą szelest płynącego czasu i łudzą się, że wszystko można cofnąć, naciskając odpowiedni klawisz.

Szukając różnic pokoleniowych, spostrzegam, że młodzi ludzie mają dziś krótszy łuk uwagi, że w sztuce narracyjnej nie oczekują, że strzelba, która wisi na ścianie w pierwszym akcie, musi wypalić w trzecim (to był postulat Czechowa). U Beethovena kilka dźwięków w początkowej części utworu, rozwija się i prowadzi do pełnego tematu, przechodząc po drodze wiele przeobrażeń. Młody słuchacz częściej obcuje z bardzo krótkimi formami, więc nie oczekuje kunsztownych

konstrukcji, bo tych w paru minutach kompozytor nie zdąży rozwinąć - raper też nie jest w stanie stworzyć długiego poematu. Krótkość formy jest pewnym znakiem czasu, odzwierciedla szybkie tempo życia i jeszcze szybsze tempo przemian. Można tylko spytać czy to dobrze, czy to źle i odpowiedź musi być dwuznaczna. Z jednej strony to lepiej, że szybko żyjemy, nasze życie jeszcze bardziej się wydłuża, z drugiej strony istnieją ważne doznania, których nie poznamy w pośpiechu - to, co zawarli w swoich powieściach Marcel Proust, Lew Tołstoj czy Tomasz Mann dotrze tylko do tych, którzy będą umieli czytać powieści w wielu tomach. Dla sprawiedliwości warto dodać, że rozwlekłość w dziewiętnastym i dwudziestym wieku była często plagą zarówno wśród pisarzy czy kompozytorów, jak i wśród polityków przemawiających publicznie, profesorów stających za katedrą, a przede wszystkim złotoustych księży. Wszyscy oni głądzili bez miary, co dzisiaj nie uchodzi już bezkarnie.

Skoro wspomniałem o łuku uwagi, to mam nadzieję, że Państwo wybaczą, iż nie staram się o misterną kompozycję, zakładając, że będą Państwo czytać ten tekst kawałkami, jak kawałkami to piszę. Tak więc liczę na wasz krótki łuk uwagi i wrócę do dylematu, który zarysował się w scenach z mojej Iluminacji. Młody człowiek musi przerwać studia, żeby utrzymać żonę i dziecko. Sytuacja stereotypowa, jakby wyjęta z katalogu zdarzeń, które znamy powszechnie. Jak pogodzić życie rodzinne i zawodowe? Można rzucić w przestrzeń to pytanie, ale w każdym pojedynczym życiu sytuacja kształtuje się inaczej. Powszechna tendencja w krajach rozwiniętych w dwudziestym pierwszym wieku wskazuje na to, że dla wielu mężczyzn, a, co jest nowością, także kobiet, spełnienie zawodowe jest ważniejsze od spełnienia rodzinnego i dlatego odkładają związek z drugim człowiekiem na później i tym samym odkładają rodzicielstwo. Sam jestem dzieckiem, które późno przyszło na świat i wiem, że ma to swoje zalety, ale i wady. Młodzi

rodzice częściej mają z dziećmi stosunki partnerskie, ale też często z dziećmi nagannie współzawodniczą, a dzieje się to zawsze ze szkodą dla wszystkich. Starsi rodzice są mniej doskonali biologicznie, stąd zwiększony procent dzieci upośledzonych i ułomnych. Z drugiej strony można położyć na szali większy procent ludzi, którzy się spełnili zawodowo, a tacy mają szansę być następnie lepszymi rodzicami. Mają szansę, ale nie zawsze potrafią z niej skorzystać. Kiedy czytamy biografie tytanów nauki czy sztuki, często widzimy, że ich dzieci były ofiarami tych spełnionych karier zawodowych - pisząc to mam przed oczyma przykład Marii Skłodowskiej-Curie czy Tomasza Manna.

Powinienem jeszcze chwilę zatrzymać się przy pytaniu, na które oczywiście nikt nie zna odpowiedzi: Czy każdy ma do czegoś talent albo powołanie? Chciałbym, żeby tak było, chciałbym wierzyć, że w każdym drzemie jakaś zdolność, może czasem głębiej ukryta. Piszę o tym, bo zastanawiam się, jak każdy człowiek ma odnajdywać swoją ścieżkę kariery, jak określić, czemu chce się poświęcić.

*Krzysztof Zanussi*

Fragment książki „*Strategie życia, czyli jak zjeść ciastko i je mieć*” Krzysztofa Zanussiego, wydanej nakładem Wydawnictwa Poznańskiego w 2015 roku, s. 159-174. Publikujemy go dzięki uprzejmej zgodzie wydawnictwa.